

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 25 marca 1916 roku.

№ 13.

## Spór polsko-rosyjski.

Przeciwieństwo kultur czy przeciwieństwo interesów?

Możemy obecnie z całą otwartością rozpatrzeć nasz wiekowy stosunek z Rosją. Staje się to potrzebą niezbędną chwili. Świadomość tego, czem byliśmy dla Rosji i czem była Rosja dla nas, powinna głęboko wnikać w nasze rachuby polityczne, w nasz system patrzenia na stosunki międzyimocarstwowe. Myśl też nasza polityczna pracuje intensywnie, przysparzając materiału do wyjaśnienia sytuacji. Z szeregu publikacji w tej materii bezwzględnie na czoło dwa głosy się wysuwają: Prof. Stanisława Kutrzeby „Przeciwieństwa i źródła polskiej i rosyjskiej kultury” oraz Antoniego Chłonińskiego „Istota walki polsko-rosyjskiej”. Nazwiska autorów wystarczają za poręczenie gruntowności i powagi w ujęciu przedmiotu. Prof. Kutrzeba, znany historyk, świetny znawca naszej państwowości nie wysuwa żadnych czynników, zabarwionych sentymentalizmem. Referuje historyczny przebieg walki polsko-rosyjskiej i pyta: „Czem tłumaczyć dziedziczość nieprzyjaźni, czem tłumaczyć ten antagonizm między Polską a Rosją, który przetrwał tyle wieków mimo łączności słowiańskiej?”

Przez Litwę odziedziczyliśmy do rozwiązania sporną sprawę ziem ruskich. Moskwa rościła sobie do nich zawsze prawa. W ekspansji swojej państwowej (na początku chodziło jej tylko o tereny Rusi) spotkała Moskwa polskie interesy mocarstwowe, które, połączywszy się z Litwą, stanęły do walki. Proces dziejowy walkę tę rozstrzygnął na korzyść Rosji. Co więcej, uderzył w samo serce sprawy: by wpływ polsko-państwowy zniszczyć doszczę-

tnie, ugodził w samą naszą państwowość.

Z chwilą jednak obalenia przeciwnika Rosja nie zaniechała przesładowania względem Polski. Terytoria sporne zajęła, ale i na obszarze etnograficznym polskim prowadzi dalej dzieło niszczenia naszej narodowości. Czemu? Prof. Kutrzeba z racji tej mówi:

„Szukałem odpowiedzi, dlaczego tak było? dlaczego nawet po usunięciu tego kamienia waśni polsko-rosyjskiej, jakim było władztwo nad ziemiami ruskimi, które Polska posiadała, do zżycia się nie przyszło, dlaczego Polska przeciw Rosji i zbrojnie występowała, dlaczego Rosja nie wyciągnęła dłoni do zgody. Nijedną tego przyczyna. Dużo ważyły tu obawy, że ziemie polskie, obdarzone swobodą państwową, mogłyby się stać zaczątkiem grupowania słowiańszczyzny zachodniej, katolickiej przeciw Rosji, i że polacy dążyliby do odebrania ziem historycznie polskich dawnej Litwy”. (Str. 21).

Najsilniejszą jednak zaporą, zdaniem prof. Kutrzeby, do wyrównania stosunków polsko-rosyjskich pod berłem carów, jest przeciwieństwo kultur. Szuka więc prof. Kutrzeba w religii, prawie, charakterze i obyczaju obydwu narodów cech charakterystycznych a decydujących. Kultura polska jest zachodnią.

„Złączyła nas z Zachodem cała przeszłość, związki w dziedzinie wiedzy i myśli, sztuki we wszystkich jej odłamach i obyczaju” (Str. 22).

W Rosji dokonywa się upaństwowienie religii, stopienie idei absolutyzmu z ideą prawosławia. Państwo pokrywa zupełnie Kościół, co

jest specyficzną cechą Wschodu, gdy na Zachodzie wszystkie państwa wyzwoliły się z pod władzy Kościoła i z walki tej wyniosły ideę tolerancji religijnej. „Jednym z pierwszych państw, które zasadę tolerancji przyjęło w praktyce, a następnie jako prawną zasadę, była Polska, która ją już w XVI wieku urzeczywistniła i uznane swobody wyznania prawie w pełni utrzymała do końca swego bytu” (Str. 40).

Pyta przeto prof. Kutrzeba: „Czyż potrzeba jeszcze podkreślać, jak duchy tych kościołów od siebie odbiegły? że te kościoły musiały się sobie tak silnie przeciwstawiać, a tem samem przeciwstawić sobie i te kultury, które pod tchnieniem ich nauk wzrastały?”

W dziedzinie prawno-państwowej Zachód cały i Polska stoi niewzruszenie przy sankcji i zasadzie prawa. Polska była jedynym państwem, które nie zasnęło epoką absolutyzmu. „Chyba tylko Anglik polakowi w tym względzie (to jest w poczuciu prawa) dorównywa, bo oba te narody pod tym względem najwięcej do siebie zbliżone”. (Str. 53).

Rosja zaś nie zna prawa. Zna władzę. Wychowała się, jak należy, niskie bić pokłony, i to jest jej zasadą rządzenia. Prof. Kutrzeba pisze: „Nie było w Rosji miejsca na zasadę prawa, zastępowała ją inna zasada: władzy, władzy bezwzględnej, której wszyscy ulegać muszą i powinni, władzy, dla której ciężą przynięte całe społeczeństwo; to „samodierżawie” (Str. 54).

Różnice charakteru, różnice kultury obyczajowej są powszechnie znane. Polska nie zna tych typów rewolucjonisty-prowokatora, nihilisty-caroidalizatora. Polska wychowała typ rycerza bez skazy, zaszczytła głęboko poczucie honoru. Prof. Kutrzeba sądzi, że były cechy te „jednym z głównych powodów tarć i starć w XIX w., zwłaszcza po roku 31. po umieszczeniu wyodrębnionej od

Rosyi, choć w Rosyi granicach, państwowości polskiej" (Str. 79).

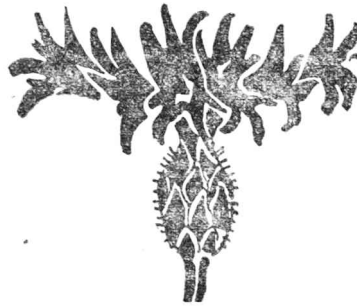
Myśl ta spowodowała, że znakomity publicysta, znany czytelnikom „Świata” ze świetnych artykułów o „Miliardzie margrabiego Gerona” i doniosłych uwag o naszej arystokracji, zajął się rewizją stosunków polsko-rosyjskich. Dał on w swojej arcyciekawej pracy p. t. „Istota walki polsko-rosyjskiej” wyjaśnienia, odsuwające na plan dalszy rozbieżność kultur.

W walce polsko-rosyjskiej ścierają się nieubłagane interesy. — Już w wieku XV państwo polskie stało na straży swoich wyraźnych tendencji politycznych. Tu chodzi, jak mówi Chołoniewski, „o Dniepr i Dźwinę”. „Ponury rapsod polsko-rosyjski ma ten właśnie motyw przewodni. Popelnia się bijącą w oczy przesadę, zwalając główny ciężar przyczyn wrogiego stosunku Polski i Rosyi na „przeciwieństwa kulturalne”, którym ostatnimi czasy przypisuje się jakiegoś niemal mistyczne znaczenie”. (Str. 44). I zwalcza Chołoniewski „artykuły komunal. że Kongresowe

Królestwo skazane było i tak na rychłą zagładę wskutek sprzeczności polskiego ustroju konstytucyjnego z absolutnym ustrojem rosyjskim, komunal błędny już w założeniu, gdyż system konstytucyjny nie jest jedyną formą życia państwowego, i konstytucya, wśród powszechnej naówczas reakcyi, mogła być paść a odrębność państwowa Królestwa istnieć”. Pogląd przeciwieństw kulturalnych „wielokrotnie został wyrażony z dogmatyczną pewnością w artykułach i broszurach, jakie wydało w ostatnich czasach.

DN.

Eustachy Czekalski.



LEON CHOROMAŃSKI.

## Małe pęknięcie konwenansu.

Przed laty poznałem dymisjonowanego kapitana S. Ten wysoki, smutny mężczyzna był niegdyś oficerem legionu cudzoziemskiego i bił się w Afryce. Zachował nadlugo wygląd młody. Należał do tych ludzi zagadkowych, dla których milczenie jest stanem normalnym a mowa czemś w rodzaju zakłócenia spokoju. Mleczkowie, dokądkolwiek się zwróca, budzą naogół niechęć lub rozezarrowanie. Towarzystwo lubi gwar rozmowy i oczekuje go od każdego. Pomure i zacięte walki namietności; z obowiązkiem, gorącą żądzą Boga, dążenie do wielkości rsoną nieraz w atmosferze milczenia lub nawet mruklowości. Ale cóż to obchodzi towarzystwo? Chce ono gwaru słów, spadających z języka w podskokach akrobatycznych, a tymczasem milczenie jednego z obecnych mówi: „Chcecie, abym ja was interesował? Lecz naprzód wy mnie zainteresujcie”. Czyż może tego rodzaju dumna, zaufana w sobie powściągliwość mierzyć się z rozrzutnością człowieka, który każde swe upodobanie chce uczynić publicznem, który, obnażywszy wszelkie zakątki swego temperamentu, wywraca go jeszcze na nice i pokazuje od podszewki? Lecz niech zagrzmi głos prawdziwej poezyi, która przecie nie jest niczem innym, jak życiem głębokim i sumiennem, a przymrużone oczy i drwiący uśmiech gadały wskażą, że nie jest to jego dziedzi-

na, że tu się on kureczy i krztusi, że — tu właśnie ścina mu się krew w żyłach.

Kapitan S. należał do ludzi milczących i do ludzi skromnych. Był jednym z tych niewielu, którym towarzystwo w drodze wyjątku wybaczają milczenie. Zwracano się do niego z zapytaniem wprost tylko w chwilach ważnych i głowy obecnych kierowały się dyskretnie w stronę starego żołnierza, czekając, co też on raczy odpowiedzieć. Skądże taka uprzejmość i delikatność — rysy daleko rzadsze w towarzystwie, niż się wydaje etykietalnym paniom domu? Podbijała tu nawet ludzi tak roztrągnionych i wysoce niewdzięcznych, jak ludzie światowi, i zjednywać umiała ich umysł piękność milczenia kapitana. Milczenie jego nigdy, jak się zdaje, nikomu nie ciążyło i nie wprowadzało w zakłopotanie nikogo. Brał on — a rzecz to rzadka — miły udział w życiu towarzyskiem, milcząc. Tylko dzieciaki rzuca niebacznie kamieniem w cichy, głęboki staw, w którym za chwilę zacznie się przegładac gwiazdzista wiekiuistość nocy, wywołując w ten sposób na dumającej wodzie bolesne skurcze, tworzące szereg kół coraz szerszych i gniących jakby z niemym wyrzutem. Kapitan S. miał coś z piękności takiego stawu. Jego jasne włosy zachowały tonację niemal młodzieńcze. Oczy, których kolor niebieski łączył się z odblaskami złotawemi, umieszczone

głęboko w brzozy twarzy, były smutne, ale niezgaszone. Te oczy; czyste, białe i świeże, nie pocięte boleśniami, nawistemi brózdami, które świadczą więcej o kłeskach i ruinie, niż o pracy myśli, wskazywały, że kapitan S. przeżeglował przez długi szereg lat, nie zaznawszy ani razu śmiertelnej kłeski, po której człowiek dźwiga się, czując, że coś w jego duchu zagasło nazawsze. Był to człowiek rozważny i rozwaga, zapewne, była źródłem jego małomówności. Gdyby urodził się o dwa wieki wcześniej, zostałby pewnie mnichem, surowym dla siebie, pobłażliwym dla innych, lecz ostatecznie zmierzającym nieustannie — wśród skał i syrenich pokus — ku cichej przystani niebios. Kapitan S. był istota łaknącą zbawienia dla siebie i innych. Nie był to duch tragiczny, lecz raczej spostrzegający z daleka tragiczność i zawracający w stronę, gdzie cicho! W młodości, kiedy człowiek najężej walczy i łamie się z sobą, kapitan S., może przerażony rysem *ostrożności* w swym charakterze, został wojskowym, aby w ogniu bitew przepocić siebie na zuchwalszego człowieka. Mimo to pozostał przez całe życie widzem tylko i słuchaczem, wprowadzając bardzo miłym i orzeźwiającym swą obecnością innych, lecz niezem więcej. Dobre zalety jego natury sprawiły, że nie opadły go małe lecz uporczywe namietności, jak chciwość lub próżność. Dom kapitana w miasteczku K. sływał z ogrodu, z owoców, z pięknych gatunków róż i z dobroczynnej, gorliwie unikającej rozgłosu ręki właściciela.

Pomiędzy mną a kapitanem zawiązała się przyjaźń powściągliwa, lecz pełna szacunku i uwagi — z mojej strony. Dwa razy podczas tych kilku miesięcy, kiedy spotykałem kapitana, widziałem go wzruszonym. Tu wspomnę o jednym tylko z tych dwu przypadków.

Było to na wsi, o kilka wiorst od miasta K., gdzie mieszkał stary ekswojskowy. Bywaliśmy z kapitanem w domu państwa Z., gdzie starano się o gość dla pewnych powodów, o których ci nie wiedzieli lub przynajmniej wiedzieli niewiele. Pani Z. w owych czasach miała już drugiego męża. Cała jej pierwsza młodość była jednym długim rozkośchaniem się w sobie. Piękność jej dosięgła wówczas najwspanialszego rozkwitu — tego niebezpiecznego apogeum, po którym następuje fatalny zmierzch. A pani Z. nie chciała zmierzchu! Kiedy obracała się profilem, myślałem, że powinna żyć wieki zakłętą w marmurze. Nie powinny zginać te usta ani nos o ruchomych, rozchylonych nieco nozdrzach! Była to prawdziwa Hera — wysoka, bujna, o złotawej pleci i ramionach. Myślało się przy niej o tych rzadkich wypadkach, kiedy urody kobiecej nie zepsuie żaden rys chybiony. Wielka ambicja kazała jej wyrokować o wszystkim z nie-

zachwianą pewnością siebie, z którą jej było, zresztą, bardzo do twarzy. Kto wie, czy nie ambicja i pycha zdrowego ciała więcej, niż serce spragnione, zawyrokowały, że „ostatni rok” pani Z. ma być rokiem majestatycznego tryumfu, porą, kiedy doprowadzi ona „mężczyznę” i rozciągnie pokonanego, zwalonego huraganem u swych stóp! I te stopy postawi mu na głowie!

Ofiarą tego pysznego zamachu był — trzeba to wyznać ku większej czci pani Z.! — własny jej mąż! (Takie rzeczy zdarzają się jeszcze — na prowincyi!). Kochanek, ukrywając się, kłamstwo — wszystko to tę polską Herę napawało obrzydzeniem. Nie! właśnie miłość legalna, ale jaka! Niech zaćmi zachwyty, utkany z żądz i szacunku, dzięki któremu przed sześciu laty pan Z. oświadczył się o jej rękę! Gdy zamiar uwiedzenia pana Z. po raz wtóry zaświtał w umyśle jego pięknej żony, zakwitła ona, zaiste, olśniewającą młodością, a włosy jej nabrwały blasku, jakgdyby słońce zajaśniało w jej głowie. Plan był zawily, prowadzony ze zdumiewającą uporczywością i jakby w natchnieniu. Co dziś było zamiarem, jutro dzięki bujnym żywiołom tej pani despotycznej śpiewało już w marzeniu i kipiało we krwi! Zacząć od wiosny, od lekkich, złotych gałązek, od Słowackiego (polki w pierwszych stadiach miłości chętnie posługują się Słowackim) i kroczyć coraz dalej, głębiej — aż w zapamiętanie, ogień, w piekło! (Niechże ten skromny w istocie swej najgłębszej człowiek choć raz w życiu ujrzy prawdziwy wybuch Wezuwiusza — i to nie ruszając się z Polski!). Ach, co za galerya cudowna i nęcąca spojrzeń, uśmiechów, gestów, obietnic, zalotów, parskania niemal zwierzęcego, dreszczów — ach! nawet jęków! Wszystko to oddawać, płonąć, a widzieć zarazem chłodnemi, ciekawemi oczyma! Być gorącą w ramionach a chłodna mózgiem! Pani Z. przewidywała z rozkoszą, że pewnego dnia pan Z. zawała się, czy zejść z nią aż na dno Tartaru! Ale ona zmieni go w Orfeusza, szukającego aż w piekle złotoramiennej Eurydyki.

Biedny jej mąż uległ oczarowaniu i podbity. Lecz okazał się zbyt słabym, aby znieść, śmiejąc się zdrowo i radośnie, nieustanne wzbijanie się pod obłok wśród drzew pachnącego rajy i zapadanie w sny wyczerpania. Genialna kokieterka tej nowożytej nietylko Hery, lecz i Circe, zachwiała zdrowie duchowe tego niezbyt mądrego Ulissesa. W pewnych dniach w tygodniu pan Z. bywał pazernym, noszącym w dłoniach wzruszonych wspaniały tren jej sukni, a nawet Sardanapalem, mającym zamiar spłonąć z nią na wysokim stosie. Pani Z. umiała go uczynić bluźniercą, wydającym zdławionym głosem okrzyki na cześć świętej urody jej ciała! Lecz bywały dni, kiedy pan Z. stawał się

jej katem! Zwolna coraz widoczniej występowały objawy obłędu w postaci ataków ponurej zazdrości, której podkopany organizm nie umiał się oprzeć. Wtedy nieszczęśliwy błądził po ogrodzie w posepnem zamyśleniu, skradł się do okien swej wiernej a mimo to posądzonej żony, a jego chore, halucynujące ucho słyszało szepty i odgłosy pocałunków. Gwałtowne sceny zazdrości, podpatrywanie, niedorzeczne wyrzuty i groźby, wszystko to krzyżowało zamiary pani Z., powstawało wbrew jej woli, mijało godziny tryumfu, Zrywające się w „kochanku” obłąkanie dreczyło okrutnie tę dyszącą żądzą holdów dojrzałą i bujna kobiecie. Jej logiczna natura wzdrygała się na widok ciemnego, głuchego na zaklęcia obłędu, na widok zazdrości, podsycanej nie z zewnątrz, lecz z niedostępnych źródeł wewnętrznych, na widok namiętności, nie wywołanej dobrowolnie i błogosławionej, lecz występującej samowolnie, niby ciemne zwierzę, wypelzające z pieczary, gotowe rzucić się na miłość pożądaną i zagryźć ją... Lecz mimo wszystko pani Z. nie myślała, że mania męża jest chorobą. Sądziła, że jest to raczej bunt, który można i należy zdławić, że to jedno z tych głupstw oplakanych, które legną się po rozwielczonych głowach męskich!

Kapitan S. i wielu innych gości nie podejrzewali zapewne, że zapraszano ich poto, aby byli rodzajem eliksiru, usmierzającego paroksyzmy niedorzecznej zazdrości. (Ja tylko już wtedy wiedziałem niejedno, a później dowiedziałem się wszystkiego — z ust najpewniejszych!). Ilekroć ponure usposobienie pana Z. zwiastowało nadejście burzliwej manii, jego żona rozsyłała czempredzej posłańców

konnych, spraszając gości. Dawny bonvivant i hulaka nietylko źle znosił samotność w ramionach złocistych, ale wogóle źle znosił wszelką samotność. Gwar rozmowy i szelest sukien licznych kobiet wprawiał go w rodzaj ceremonialnego odurzenia. Bokbrody pana Z. lśniły uroczyście, gdy witał gości, a ręka stawiała się miłą w dotknięciu, jak aksamit. Opowiadał anegdotki ze smakiem i apetytem żarłoka. Jego rozmowy przy stole i podczas przechadzek konwenyonalnych z gośćmi po parku podobne były do prestidigitatorskiego rozwijania zwiołów lśniącej tkaniny przez zręcznego i biegłego w swym fachu subiekta. Kobiety, którym tak niewiele potrzeba, aby się uczuły olśnionemi, słuchiwały pana Z. z uśmiechem błądzącym po wargach i z przymrużonemi oczyma. Pani Z. widziała ten uśmiech i to przymrużenie oczu, lecz nigdy nie raczyła być zazdrosną. Kiedy, unosząc nieco tren sukni, ze szmerem przechodziła z miejsca na miejsce, uśmiechnięta arcystodką, myślałem, że wraz z nią przenosi się z miejsca na miejsce amfora kipiącego fałszu i udania. Ręczę, że przechodząc przez salon, kiedy był pusty, wdychała z rozkoszną ulgą, a słysząc zdala gwar gości na werandzie, zgrzytała białemi zębami, myśląc, że niedorzeczna namiętność pozbawia ją rozkoszy sam na sam i nie daje napawać się coraz to innymi stadyami miłości i... coraz bliższym oddechu Hadesu... Złe błyski, zapalające się na mgnienie w oczach pani Z. na widok każdej młodej pary, szepejące gdzieś przy fircanie, mówiły, że pani domu w obrębie swego dworu tylko sobie pozwala na zbyt i przepych miłości...

*Dokończenie nastąpi.*

M Hartill.

Przekład z angielskiego  
przez H. J. P.

## NA TARCZY.

NOWELA.

2  
— Dzień dobry. Idziecie się kąpać panowie? — zawołał, — Może pani Van Steyn usiadzie tu przy mnie

— Tak, tak — odrzekł du Toit. — Musimy się spieszyć. Pójdź, Piet. — Obaj mężczyźni zniknęli w kabinie. Paweł rzucił papierosa.

— Czy kapitan Van Steyn do brze pływa — zagadnął.

— Tak powiada. Dlaczego pan pyta? — odrzekła pani Van Steyn.

— Bo mało kto się tu kąpie. Pan Ross mówił mi i kapitan Carlingford również, że —

Zająknął się. Uczuł, że nie w porę wybrał się z tą uwagą.

— Kapitan Van Steyn poradzi sobie — odparła jego żona — niech się pan o niego nie turbuje. Nie jest lekkiwy. Nie byłby nawet panu

wdzięczny, gdyby mu to pan powiedział.

Paweł zacerwienił się i wnet pobladał, ale nie dał poznać po sobie, jaką przykrość sprawiły mu te słowa.

— Zawsze zazdrościsz tym, którzy umieją pływać — rzekł u przejmie. — Sam o mało raz nie utonąłem i to było straszne. A innym razem, kuzynka moja, którą bardzo kochałem, i jej naręczony utonął i to było jeszcze stokróż gorzej.

— Nie ratował jej pan?

Teraz z kolei pani Van Steyn uczuła, że popełnia niezręczność, zadając to pytanie. Paweł patrzył przed siebie w dal.

— Lowił ryby w łódce daleko od brzegu — rzekł — i spacerowy parowiec przeszedł koło nich za

blisko. Łódka się przewróciła; Magdalena nie umiała pływać i jakoś pociągnęła Jacka ze sobą na dno — — A! oto i oni! Jak się pospieszyli!

Obaj mężczyźni przebiegli lawinę białego piasku i weszli do wody.

— Prześliczny dzień! — rzekł Paweł. — W taki dzień dobrze jest żyć i czuć się zdrowym!

Zdawać się mogło, iż zapomniał o tragedji, o której przed chwilą mówił. Pani Van Steyn pomyślała, iż ten młodzik musi być tak samo bez serca, jak jego matka, i zapewne jest tchórzem. Nie wiedziała, że wspomnienie tonącej dziewczyny prześladowało Pawła lata całe, że w tej chwili nawet przeżywał w duchu tę straszną chwilę tak dokładnie, jakgdyby to było wczoraj.

— Tak — rzekła — doskonały dzień do kąpieli. Patrz pan, jak kapitan Van Steyn płynie prosto na pełne morze.

Paweł spojrzął i nagle, nie wiadomo dlaczego, zrobiło mu się zimno w ten afrykański, słoneczny dzień. Zobaczył nietylko kapitana Van Steyn'a, ale coś więcej jeszcze i sięgnął do kieszeni po lornetkę.

— Widzisz go pan? — zapytała pani Van Steyn.

— Tak — o, tak — odrzekł Paweł tępo i odwilżył językiem usta, które mu nagle wyschły. Czy ma jej powiedzieć? Czy ona sama nie widzi prądu, który uniół jej męża? A może Van Steyn jest istotnie doskonałym pływakiem? Poczóg więc straszyc ją niepotrzebnie. Wszystkie te myśli zawirowały mu w mózgu równocześnie.

— Porucznik du Toit nie płynie — rzekł, aby coś powiedzieć.

— Nie; on nie umie pływać. Czy mogę popatrzeć przez pana szkło?

Szklka Pawła były bardzo silne i specjalnie do jego wzroku przystosowane. Nastawiwszy je odpowiednio dojrzał wyraźnie twarz Van Steyn'a bladą i przeciągniętą z wyczerpania i trwogi. Spokojny, że pani Van Steyn nic nie zobaczy, podał jej lornetkę.

— Proszę panią — rzekł. — Przepraszam, ale muszę odejść na chwilę. Mam powiedzieć parę słów porucznikowi du Toit.

Pani Van Steyn, przekonawszy się, że usiłowania jej zobaczenia męża przez lornetkę Pawła na nic się nie zdały, zauważyła, że du Toit i Paweł rozmawiają żywo o czemś przy samym brzegu, jakgdyby naradzając się i że holender położył przyjaźnie swą mokrą rękę na ramieniu młodzieńca.

Obaj patrzeli z natężeniem na morze i teraz pani Van Steyn dostrzegła golem okiem swego męża o jakieś dwieście jardów od brzegu. Płynął ku nim, ale coraz wolniej. Nagle du Toit pobiegł ku miejscu, gdzie w drzewianym schówku znajdowała

się ratunkowa boya \*) z liną, a Paweł zdjął marynarkę i obuwie.

Straszne przeczucie jakiejś katastrofj ogarnęło panią Van Steyn i w tejsze chwili okropny krzyk, krzyk wzywający pomocy targnął powietrzem.

Biedna kobieta zdretniała i uczuła, że włosy podnoszą się jej na głowie. Spozrzęła, że Paweł płynie uczepiony u boji, a du Toit przebiegli pędem koło niej, belkocząc coś niewyraźnie o telefonie.

Jak urzeczona, nie mogąc poruścić się z miejsca, patrzyła rozszerzoną oczyma na płynącego Pawła. Był on w istocie lichym pływaczem i tylko dzięki boji utrzymywał się na powierzchni. Na szczęście wszystko zrobiło się tak szybko, że nie potrzebował płynąć daleko.

Gdy się przybliżył, Van Steyn chwycił go za ramię, wskutek czego obaj poszli pod wodę. Pani Van Steyn myślała, że to już koniec, ale po paru minutach wypłynęli. Prąd zwołna unosił boję na pełne morze.

— Puść że pan do dyabła, nie ciągnij mnie tak — wyhelkotał Paweł, z trudnością łapiąc oddech.

Na tę chwilę trwoga zawładnęła nim niepodzielnie. Strach przed utonięciem stłumił wszystkie inne uczucia. Woda była mu zawsze obcym żywiołem i nie umiał sobie z nią radzić.

Ale Van Steyn'a chwycił kurez i wykrzywił mu twarz okropnie.

— Straciłem głowę — rzekł cierpko. — Przepraszam. Jakże mi się stał wydosztaniemy?

— Du Toit poszedł telefonować po motorową łódź — odparł Paweł niewyraźnie.

Brzeg pusty przed chwilą zapełnił się ludźmi; jakiś człowiek płynął ku nim owiązany liną.

— To Carlingford — rzekł Van Steyn z głęboką ulgą w głosie.

— Trzymaj się pan tylko — zauważył Paweł po chwili.

Widocznie było, że Van Steyn coraz słabiej trzyma się boji. Stłumione ta! ta! ta! motorycznej łódź dochodziło wyraźnie od Docków.

Van Steyn zacisnął zęby. Twarz mu zzieleniała.

— Kurez mnie schwył — wyszeptał. — Nie wytrzymam. Nie troszcz się pan o mnie, jeżeli pójdę na dno. Już i tak za wiele dla mnie uczyniłeś.

— Musisz pan wytrzymać — rzekł Paweł ze spokojem rozpaczy. — To tylko parę minut. A ja panu pomóż nie mogę.

Istotnie ręce mu zgrabiwały; usta i palce sine miał z zimna; próbował jednak.

Carlingford przybliżył się tymczasem.

\*) *Boya* — beczka uwiązana na wodzie dla wskazywania mielizny lub ukrytej rafy. *Przyp. tłum.*

— Oddaj mi go — rzekł do Pawła.

Pochwycił Van Steyn'a wprawnie ze zrecznością człowieka, dla którego ratowanie tonących jest powszednim chlebem.

— A ty, młodzieńcze? — rzekł — utrzymasz się jeszcze chwilę?

Pawłowi zęby szczykały; słabo mu było; dzielnie jednak stłumił to uczucie.

— Tak; tak — odpowiedział. — Nie troszcz się pan o mnie. Łódź będzie tu za chwilę.

Carlingford zawałał się trochę; lecz nie było czasu do stracenia.

Paweł usłyszał radosne okrzyki tłumu z brzegu, witające przybycie Carlingforda, i pojął, że został sam na wodnej roztoczy.

Morze było bardzo zimne, a od czasu do czasu wielkie bałwany przeskakiwały nieszczęsnego chłopca. Nie mógł już dojrzeć brzegu, podczas gdy stojący tam spozrzęgali, jak boya coraz cięższej i ukońniej zanurza się w wodzie.

Ktoś zbliżył się do pani Arlington, stojącej zdala spokojnie, i podał jej lornetkę Pawła ze słowami otuchy. Był to du Toit. Zwróciła ku niemu bladą, stęzłą twarz.

— Mój syn — rzekła — zrobił to, co do niego należało. Podobnie jak mój starszy syn jest dzielny i odważnym mężczyzną.

Po raz pierwszy mówiła o Pawle w ten sposób.

Carlingford, świetny pływak, po raz drugi spieszył na ratunek, ale Paweł nie wiedział już nic, co się dookoła niego dzieje. W uszach dzwistały mu słowa spartańskiej matki, które czytał dziś rano:

„Powrócisz do domu z chwałą, nie wstąpi w to, jeżeli w walce nie porzucisz tarczy”.

Czy spełnił to zalecenie?

Pomyślał o Filipie, który będzie nosił w dziurce od guzika czerwoną wstążeczkę Legji Honorowej i o matce. Ona go zrozumie. Ona była, jak owe szlachetne matki Spartanki. Nie chciałyby, żeby wrócił bez tarczy.

I nagle cichy, stłumiony okrzyk wyrwał się z ust widzów na brzegu. Pani Arlington spoglądała niewzruszona na niktą pod wodą twarz syna.

Boya oswobodzona z ciężaru płynęła lekko po osłonecznionem morzu.

\* \* \*

Tłum rozszedł się, pozostawiając panią Arlington samą, jakby w poczuciu, że tak jej będzie najlepiej. Tylko du Toit nie odstępował jej.

— To jest zupełnie tak samo — wymówił ochrypłym głosem — jakgdyby poległ w boju.

— Tak — odpowiedziała pani Arlington.

KONIEC.

# Spotkanie.

*Na zdobywczym dzianecie piękny kasztelanie  
pędzi w blaskach księżycyca w odległe ustronie,  
sadzac śmiało przez jary, nie zważając na nic —  
nie wstrzymują go wzgórze, ni odmetów tonie —*

*Pędzi dzianet przez góry, po ścieżkach się wspina.  
szarpie złote wędzidło ręka niecierpliwa —  
Na odległej polance drży wojewodzina.  
patrzac w strone, skąd do niej kochanek przybywa.*

*Na jedwabnych poduszkach zamkniętej kolaski  
wojewodzina cudna na kochanka czeka.  
srebrzą ciemne jej łoki księżycowe blaski,  
w uśmiech, stroi twarzyczkę dźwięk podków zdaleka.*

*Konia kotem zatoczył, oddał pokłon szpadą,  
co zabłysła, jak dyament, i skoczył ze strzemion,  
i w ręce swoje ujął jej twarzyczkę bladą,  
i długo patrzył w oczy, ich czarem oniemiom.*

*Pochyliły się głowy wśród mistycznych cieni,  
co z miesięcznej poświęty na polankę płyna.  
i w zakochane usta wpiły się spragnieni  
kasztelanie srebrzysty z cud-wojewodzina —*

*Co oderwą się usta, to się znówu chylą,  
patrzą się w oczy oczy, a polęczki płoną —  
chwila zdaje się wieczną, to znów wieczność chwila,  
pieszczą wargi kochanka główkę pochyloną —*

*Patrzą oczy zuchwale do wnętrza kolaski  
na twarzyczkę lilową, bladą, jak marzenie,  
i rozpacz w nich widnieje, że wstające brzaski  
i dzień rwący zza lasu od kochanki żenie —*

*Wolno rumak spieniony powraca ze schadzki,  
głowę smutnie pochylil i wędzidła nie rwie —  
lzy zakrywa przyłbicą kochanek junacki,  
gdy serce pod pancierzem toczą żalut czerwie.*

## Wyjątkowy pech pana Józefa.

Zacofaństwa nie nie usprawiedliwia.  
Ani wojna wszechświatowa, ani brak  
poczy. Nawet — trudność przepustek...  
— Niestety, zapomniał o tem pan Józef,  
jak przepominał również zapytać na  
wyjeźdźnym żony, czy teraz w Warsza-  
wie panie noszą wązkie spódnice, czy  
szerokie?...

Za to małżonka nie przepominała  
obarczyć mężulka całą furą poleceń do  
rodziny, nietylko do blizkich, ale i do tej  
dalszej, którą dziedzic Małej Wólki znał  
nieledwie z opisu tylko...

...Pan Józef idzie sobie Nowym  
Światem, w godzinę po przyjeździe —  
tuż przed nim biegnie smukła panienczka  
w żalobnym kapelusiku z małym welo-  
nem, w krótkiej sukieneczce do kolan,  
wysokich bucikach i jedwabnych pończoz-  
szkach. Dzieciak prawie: co najwyżej —  
pensjonareczka... Ogląda się za przy-  
byszem z prowincyi raz, drugi... Za trze-  
cim wręcz uśmiecha się do dziedzica Ma-  
łej Wólki...

Z kolei, pan Józef przyspiesza kro-  
ku, by ją wyminąć, zająrzeć bliżej w oczy  
i przekonać się, co zacz?... Lekko zażen-  
owana, uśmiecha się panienczka raz  
jeszcze, poczem chowa ślepką w mułkę i  
pomyka rażno przed siebie... Rozkoszny  
berbeci!...

— Panna Wacia Stafińska, kuzyn-  
niczka z Wareckiej! — przemknęło przez  
myśl panu Józefowi, i wraz przypomniał  
sobie jedno z poleceń żoninych... — Nie-

dawno podobno umarł im ojciec... Ależ  
tak: kłania mi się najwyraźniej i przy-  
wołuje mnie! Pęka ze śmiechu, że jej  
nie poznaje! Dolicha, mam trochę krótki  
wzrok... Ucieka do bramy! A, koza!...  
Stanowczo, ten dzieciak rozkoszny, to...

I wali za rozkosznym dzieciakiem do  
bramy. Kłania się „kozio” z całą galan-  
teryą:

— Panna Wacia pozwoli, że — — —  
Ja właśnie do panny Waci do domu — —

Panna Wacia przerywa arbitralnie:  
— Zawracanie głowy! Do domu do  
mnie nie można! Jeżeli pan — — —

Jak z procy, wylatuje pan Józef na  
ulicę, szczerze wzburzony — — —

Ale dyabeł nie śpi. I niechno jesz-  
cze trafi na czelka z prowincyi, który  
przez półtora roku nie był w sto-  
licy — — —

Już pod wieczór, po załatwieniu  
blizkich interesów rodzinnych, pana Jó-  
zefa ogarnia nastrój wojowniczy... Ma-  
luczek, a gotów sam podjąć ofensywę!  
Co na placu, to — — — Hu, a na tym  
starym Nowym Świecie nieprzyjaciela  
tak dużo!... I wszystkie w wysokich bu-  
cikach — — —

Z pod woala — nie po raz pierwszy  
od rana! — łyska ku niemu granat za-  
bójczego spojrzenia... Wszystkie spoj-  
rzenia wydają mu się dziś zabójcze!

Spojrzenie uciekło... pan Józef widzi  
przed sobą czarujące tyły nieprzyjacie-  
la. Ten sam mały, okrągły kapelusik,  
pod nim równie niedługi welonik żalob-  
ny — wzrost tylko trochę większy i tu-

sza nieco okrągłjsza — za to ta sama  
krótka spódniczka i czarne pończozki...

Zrównał się — obnyśła atak zbliżka.  
Nieprzyjaciel maskuje twarz mułką —  
*toujours le même!* — i spieszniej jeszcze  
uchodzi przed siebie...

Na zakręcie zwalnia kroku. Zdoby-  
wczym rzutem pan Józef oskrzydla  
ofiare:

— Można do pani?...

Napadnięta — osłania się miazdzą-  
cym ogniem wzrokiem. Ale spojrzala  
w twarz napadającemu — i wybucha  
śmiechem zadowolenia.

— Ależ owszem, proszę bardzo.

Pan Józef usłuchał zaproszenia —  
zlekką zażenowany... Dwa kroki od ro-  
gu, wchodzą do bramy domu.

— Paniusia tu mieszka? — pyta  
zwycięzca tak, by coś powiedzieć...

— Tak jest, panie Józefie. A cóż  
tam u — — —

— Pani mnie zna??...

— Nie poznaje mnie pan? A ja pa-  
ną odrazu — — — Matka Waci Stafiń-  
skiej — — —

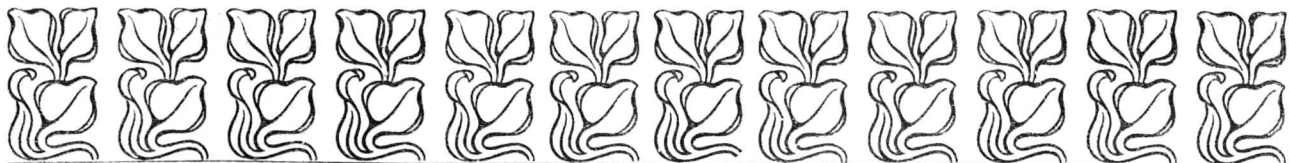
Dziedzic z Małej Wólki radby się za-  
padł w jednej chwili pod ziemię!

Ale, niestety, musi iść na górę, wy-  
pełnić polecenie małżonki, i na dobiek  
wytłomaczyć się, dlaczego biegł tak chy-  
żo za stateczną, siwiejącą już wdową, a  
nie przywitał się odrazu?

Pan Józef kręci się, jak piskorz, z  
rozpacziwym uporem naprowadza roz-  
mowę na politykę, na drożynę, na oku-  
pację — a w duchu powtarza sobie raz  
po raz:

— Trzeba mojego wyjątkowego pe-  
cha!...

B. Górczyński.



## B A K.

13

POWIEŚĆ.

— No, no, Cezarze, przesadzasz. Ja go równie nie lubię, ale co czynić go gorszym, niż jest? Jego obejście jest rzeczywiście trochę sztuczne i drażniące, i ciągle rzucanie dowcipami muży wkońcu, ale w gruncie są to rzeczy niewinne.

— Być może; ale mnie odpycha człowiek, który drwi ze wszystkiego. Poprosto nie mogłem słuchać na ostatnim zgromadzeniu u Fabri-zi'ego, jak piorunował na reformy w Rzymie, jakdyby wszystko chciał unurzać w błocie i we wszystkim dopatrywać się jakichś nikczemnych powodów.

Gemma westchnęła.

— Nie idąc tak daleko, ja jednak nie dziełem waszego zapalu i, powiedziałabym, zaślepienia na tym punkcie. Cóż, papież może mieć jaknajlepsze zamiary, ale czy je zdoła przeprowadzić? Zresztą, nie mówmy o tem.

— Masz słusność; w tym jedynym jedynym względzie poglądy nasze różnią się diametralnie. Nie przekonamy się wzajemnie, więc szkoda czasu, tembardziej, że ja tu w innej sprawie przyszedłem.

I z temi słowy wydobyl z kieszeni jakiś rękopis.

— Cóż to takiego?

— Ot, niemądry artykuł, który ten przeklęty Rivarez przesłał wczoraj komitetowi. Wiedziałem, że wcześniej lub później wystrzeli z jakimś głupstwem.

— Znowu, Cezarze? Rivarez może nie być miłym, ale głupim nazwać go nie można.

— O! nie przeczę, że jest aż za nadto sprytny na swój sposób; ale lepiej przeczytał sama.

Artykuł był zjadliwą krytyką szalonego zapalu, jakim całe Włochy płonęły jeszcze z powodu reform papieskich i Jego osoby. Jak wszystko, co wychodziło z pod pióra Bąka, satyra ta tchnęła kracicową, nieprzejednaną nienawiścią, ale pomijając iaskrawe wybryki stylu, Gemma w duszy przyznawała pewną słusność autorowi. Ten zapal istotnie szedł za daleko.

— Zgadzam się z tobą, że to strasznie złośliwe — rzekła, składając rękopis. — Ale co gorzej, że to wszystko prawda!

— Gemmo!

— Ależ tak. Człowiek ten ze szczególną bystrością ugodził w achillesową piętę kwestyi; i tego mu zaprzeczyć nie można.

— Więc jesteś za tem, żeby wydrukować to bezceństwo?

— A! to zupełnie inna rzecz. Bynajmniej nie jestem za wydrukowaniem tego, jak powiadasz „beze-

ceństwa” w tej formie, bo to by tylko zniechęciło i odstręczyło wszystkich, nie odnosząc pożądanego skutku. Ale gdyby Rivarez przerobił tę rzecz i usunął z niej wszystkie osobiste wycieczki, byłaby to cenna praca. A jako polityczna krytyka, jest to utwór wyborny. Nie przypuszczałam, żeby Rivarez pisał tak dobrze. Mówi rzeczy domagające się powiedzenia, a których nikt z nas nie miał odwagi powiedzieć. Ten ustęp naprzykład, w którym porównywa Włochy do pijaka płaczącego rzewnie w objęciach złodzieja pładrującego mu po kieszeniach, jest poprosto świetny.

— Gemmo! To najgorsze w tym całym artykule! Nienawidzę takiego zajadłego szekecania na wszystko i na wszystkich.

— I ja również; ale nie w tem rzecz. Rivarez ma bardzo nieprzyjemny styl i jako człowiek nie jest zgola pociągającym; ale gdy powiada, żeśmy się upili; procesyami, czułością i okrzykami na cześć miłości i zgody, i że znajdują się tacy, którzy z tego skorzystają, ma po tysiąc razy słusność. Żałuję, że nie byłam wczoraj na posiedzeniu Komitetu. I ożeście ostatecznie uradzili?

— Z tem tu właśnie przyszedłem. Chcemy cię prosić, żebyś poszła do niego, porozmawiała z nim o tem i nakłoniła go, by tę rzecz złądził.

— Ja? Ależ ja go prawie nie znam i zresztą on mnie niecierpi. Czemuż ja mam iść, nie kto inny?

— Poprosto dlatego, że nikt tego dziś zrobić nie może. A przytem jesteś rozsądniejszą od nas; nie będziesz wdawała się w niepotrzebne argumenty, i nie pokłócisz się z nim, co by się każdemu z nas przygodziło.

— Tego z pewnością nie uczynię. Ano, cóż; pójdę, skoro chcesz, aczkolwiek słabą mam nadzieję powodzenia.

— A ja jestem pewny, że ci się uda. Tak; i powiedz mu, że z literackiego stanowiska wszyscy jesteśmy zachwyceni tą pracą; to go wprowadzi w dobry humor i pozatem jest szczerą prawdą.

Bąk siedział przy biurku, obladowanym kwiatami i paprociami, z otwartym listem na kolarach i patrzył w ziemię. Kudłaty pies, leżący u jego nóg na dywanie, podniósł głowę i warknął, gdy Gemma zastukała do otwartych drzwi; Bąk zaś powstał spiesznie i sklonił się wchodzącej ze sztywną, ceremonialną grzecznością. Twarz jego przybrała nagle twarde, obojętne wyraz.

— Zbyt pani dobrą jesteś — rzekł lodowato. — Gdybyś pani uprzedziła mnie, że życzyś sobie pomówić ze mną, byłbym pospieszył na wezwanie.

Gemma, widząc, jak bardzo niepożądanym jest gościem, szybko i zwięźle wyłożyła mu cel swej bytności. Sklonił się znowu i podał jej krzesło.

— Komitet prosił mnie, bym udała się do pana w sprawie pańskiego artykułu, co do którego wywiązała się pewna różnica zdań.

— Spodziewałem się tego!

Uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko niej, stawiając wielki wazon z chryzantemami pomiędzy sobą a światłem.

— Większość członków zgodziło się na to, że aczkolwiek literacko artykuł pański wzbudził ich nieopisaną zachwyty, nie nadaje się do druku w obecnej swojej formie. Boją się, że gwałtowność tonu może obrazić i odstręczyć osoby, których sympatya i poparcie są bardzo stronnictwu pożądanem.

Bąk wyciągnął chryzantem z wazonu i zaczął zwolna oskubywać białe płatki jeden po drugim. Gdy oczy Gemmy padły na szczupłą rękę oskubującą kwiat doznała dziwnego wrażenia, jakgdyby ten ruch nie był jej obcym.

— Jako utwór literacki — zauważył Bąk stłumionym, chłodnym głosem — jest to rzecz bez najmniejszej wartości, i zachwycać się nią mogą jedynie ludzie nie mający pojęcia o literaturze. Co się tyczy wywołania obrazy, to właśnie było moim celem.

— Rozumiem. Chodź tylko o to, czy nie obrazisz pan tych, którzyby należało oszczędzać?

Wzruszył ramionami i włożył wyskubany płatek pomiędzy zęby.

— Sądzę, że jesteś pani w błędzie — rzekł. — Rzecz tak się przedstawia: w jakim celu zaprosił mnie tu Komitet? Bym zwalczał i ośmieszał Jezuitów. Spełniam moje zadanie, o ile umiem, najlepiej.

— A ja upewniam pana, że nikt nie wątpi ani w pana umiejętność, ani w dobre chęci. Komitet tego tylko się lęka, że mógłby sobie narazić stronnictwo liberalne i że miejsca robotnicy mogliby mu odmówić poparcia. Artykuł pański w zasadzie wymierzony jest przeciwko Sanfedystom, ale wielu czytelnikom może się on wydać napaścią na Kościół i nowego Papieża, a to, ze względów politycznej taktyki, Komitet uważa za niepożądanem.

— Zaczynam rozumieć. Dopóki trzymam się tej gromadki klerykałnych panów, z którymi stronnictwo jest obecnie na złej stopie, mogę mówić, co mi się podoba; ale niech tylko dotknę drogich Komitetowi księży, prawda, jak pies musi iść do budy. Oczywiście, muszę ustąpić przed decyzją Komitetu, ale to mi nie prze-

szkodzi myśleć, że strzela on na prawo i na lewo a m...m...monsiora M...m...montan...n...nell'ego zostawi pośredku.

— Montanelli'ego? — powtórzyła Gemma. — Nie rozumiem pana. Mówisz pan o biskupie Brisighilli?

— Tak; nowy papież mianował go właśnie kardynałem. Mam tu list o nim. Chciałabyś pani posłuchać? Piszący jest jednym z moich przyjaciół po tamtej stronie granicy.

— Graty papieskiej?

— Tak. Oto co mi pisze —

Wziął list, który trzymał w ręku, gdy weszła, i zaczął czytać głośno, jakąjąc się gwałtownie:

„B...b...będziesz m...m...miał nie za...za...długo p...p...przyjemność u...u...jrzenia jednego z naszych naj...za...za...cięższych w...wrogów, k...kardynała Lorenzo M...montan...n...elli. hi...s...kupa Brisig-g-helli, Za —

Urwał, milczał przez chwilę, poczem zaczął znowu, bardzo powoli i ciągnąc nieznośnie każdy wyraz, ale już bez jankania:

„Zamierza on zwiedzić Toskanię w ciągu przyszłego miesiąca w celach pojednawczych. Będzie kazał naprzód we Florencyi, gdzie zabawi około trzech tygodni, poczem pojedzie do Sienny, Pizy i wróci do Romanii przez Pistoję. Później należy do stronnictwa liberalnego i jest osobistym przyjacielem Papieża i kardynała Feretti, Za Grzegorza był w nielase; trzymano go na ubożcu w małej dziurze w Appeninach. Teraz nagle wysunął się na front. W gruncie rzeczy jest on takim samym manekinem Jezuitów, jak każdy inny Sanfedysta w kraju. I ten jego objazd jest zapewne ich dziełem. Montanelli jest jednym z najświetniejszych kaznodziej Kościoła, a na swój sposób równie szkodliwym, jak sam Lambruschini. Zadaniem jego będzie podtrzymywać zapał dla Papieża i zaprzatnąc publiczną uwagę do czasu, aż wielki książę podpisze pewien projekt, który Jezuić mają mu przedłożyć. Co to będzie za projekt, nie mogłem się dowiedzieć”. A dalej pisze: „Czy Montanelli zdaje sobie sprawę, w jakim celu posyła go do Toskanii, czy też Jezuić posługują się nim tylko, nie mogłem wyrozumić. Co się tyczy jego prywatnego życia, to, o ile mi wiadomo, jest ono nieskazitelne”.

Położył list i siedział, patrząc na Gemmę wół przynknięciem oczyma, widocznie w oczekiwaniu, co powie.

— Czy jesteś pan pewny ścisłości informacji swego korespondenta? — zapytała po chwili.

— Odnośnie do nieskazitelności prywatnego życia Monsiora M-montan-nelli'ego? Nie. Ale i on również. Zauważyłaś pani, że się zastrzega: „O ile mi wiadomo”.

— Nie o to mi chodzi — prze-rwała chłodno — ale o jego udział w owej misji.

— Co do tego polegam całkowicie na zdaniu piszącego. Jest to mój dawny przyjaciel — jeden z towarzyszy 43-go roku; i zajmuje stanowisko wyjątkowo sprzyjające śledzeniu rzeczy tego rodzaju.

— Zatem urzędnik przy Watykanie — pomyślała Gemma. — Więc takie mamy stosunki? Odgadywałam to potrosze.

— List ten, oczywiście, jest ściśle prywatny — ciągnął dalej Bąk — i pojmuję pani, że treść jego nadaje się wyłącznie do wiadomości członków Komitetu.

— Zbyteczne zastrzeżenie. A wracając do artykułu, czy mogę powiedzieć Komitetowi, że zgadzasz się pan na niektóre zmiany i ogólne złagodzenie tonu, czy też —

— Nie sądzisz, signora, że te zmiany zaszkodzą również piękności „literackiej kompozycji”?

— Pytasz pan o moje osobiste zdanie. Ja jednak przyszedłam tu wyłącznie, jako przedstawicielka poglądów Komitetu.

— Czy to ma znaczyć, że pani nie podzielasz ich?

Schował list do kieszeni i pochylał się teraz ku niej z pewnem natężeniem, które zmieniło zupełnie wyraz jego twarzy.

— Jeżeli pan chcesz wiedzieć, co obojętnie myślę, to nie zgadzam się z większością na obu punktach. Nie zachwycając się artykułem ze stanowiska literackiego i uważam, że jest prawdziwy, jako przedstawienie faktów i inądry, jako taktyka.

— To znaczy —

— Zgadzam się z panem najzupełniej, że Włochy uległy otumanieniu i że cały ten zapał i radość zawiodą je w jaką straszliwą matnię, i cieszyłabym się szczerze, gdyby to było śmiało i otwarcie powiedziane, nawet za cenę obrazy lub odstręczenia pewnej liczby naszych obecnych popleczników. Ale jako członek stowarzyszenia, którego większość zapatruje się na to wręcz przeciwnie, nie mogę występować z memi osobistymi poglądami, i co więcej, myślę, że jeżeli rzeczy tego rodzaju mają być wogóle poruszane, to trzeba to czynić spokojnie i oględnie, ale nie w tonie, jakiego pan używasz w swoim artykule.

— Pozwolisz mi pani przejrzeć ten rękopis?

Wziął go i zaczął przerzucać. Po chwili wyraz niezadowolenia wy piętnował się na jego twarzy.

— Masz pani najzupełniejszą słusność. To jest napisane, jak monolog dla *café-chantant*, a nie jak polityczna satyra. Ale co mam czynić? Jeżeli napiszę wstrzemięźliwie i przyzwoicie, publiczność nie zrozumie i powie, że rzecz jest nudna i nie dość złośliwa.

— Czy nie sądzisz pan, że złośliwość staje się nudną, gdy jej mamy za dużo?

Spojrzał na nią przenikliwie i wybuchnął śmiechem.

— Widocznie signora należy do tej straszliwej kategorii osób, które mają zawsze słusność. Więc, jeżeli będę ulegał pokusie złośliwego do-wcipkowania, stanę się z czasem tak nudnym, jak Signora Grassini. Nie-ba! Co za los! Nie; nie marszcz pani czoła. Wiem, że mnie nie lubisz i wracam do interesu. Rzecz zaś praktycznie tak się przedstawia. Jeżeli usunę osobiste wycieczki, a główną treść zostawię bez zmiany, Komitet uzna, że z wielkim żalem nie może wziąć na siebie odpowiedzialności; za-wydrukowanie mojej pracy. Jeżeli natomiast wyluszcze polityczną prawdę i wszystkie złośliwe przydomki wystosuje przeciw wrogom stronnictwa, Komitet będzie wynosił artykuł pod niebiosą, a pani i ja będziemy wiedzieli, że nie wart jest druk. I oto mamy wcale ładne metafizyczne zagadnienie: Co lepiej napisać: rzecz bez wartości i być wydrukowanym; czy napisać rzecz wartościową i nie być wydrukowanym? Jakże, signoro?

— Nie sądzę, żeby takie krańcowe alternatywy obowiązywały pana. Jeżeli pan usuniesz tylko osobiste wycieczki, Komitet zgodzi się wydrukować artykuł, pomimo, że większość w zasadzie będzie mu przeciwną; i jestem przekonana, że publikacja ta okaże się bardzo pożyteczną. Ale trzeba będzie odłożyć na bok zjadliwość. Jeżeli się mówić coś takiego, czego treść jest dla czytelników trudną do przeknięcia pigułką, nie należy przestraszać ich na wstępie jej kształtem.

Bąk westchnął i z rezygnacją wzruszył ramionami.

— Ustępuję, signoro, ale pod jednym warunkiem. Jeżeli innie teraz pozbawicie żądla, muszę to sobie powetować przy najpierwszej sposobności. Gdy Jego Eminencya, nieskazitelny kardynał, przybędzie do Florencyi, ani pani, ani Komitet nie wzbrownicie mi używać na nim do syta. To mi się należy!

Mówił chłodno i swobodnie, wyciągając chryzantemy z wazonu i trzymając je pod światło.

— Jak mu się ręka trzęsie — pomyślała Gemma, patrząc na drgające w jego palcach kwiaty. — Czyżby pił?

— To już omówisz pan z innymi członkami Komitetu — rzekła wstając. — Co do mnie, nie mam pojęcia, jak się oni na to zapatrywać będą.

— A pani?

Powstał także i oparł się o stół, przykładając kwiaty do twarzy.

Zawahała się. Pytanie to sprawiło jej przykrość, budząc dawne, bolesne wspomnienia.

— Nie wiem sama — odparła zwolna. — Przed laty znałam trochę Monsiora Montanelli. Był wtedy kanonikiem i przełożonym teologicznego seminarium w prowincji

cyi, w której mieszkałam, jako młoda dziewczyna. Nasłuchiłam się o nim dużo od kogoś — kto znał go zblizka i słyszałam same tylko pochwały. To też wierzę, że przynajmniej wtedy był niepospolicie szlachetnym człowiekiem. Ale to było dawno i mógł się zmienić. Nieograniczona władza znieprawiała tylu ludzi.

Bak podniósł głowę z nad kwiatów i popatrzył na Gemmę stanowiąc.

— W każdym razie — rzekł — jeżeli Monsignor Montanelli nie jest sam łotrem, jest niewątpliwie narzędziem w rękach łotrów. A mnie to wszystko jedno — i moim przyjaciółom z tamtej strony granicy również. Kamień na drodze może mieć jaknajlepsze zamiary, ale pomimo to trzeba go z drogi usunąć. Pozwól pani!

Zadzwonił i utykając poszedł otworzyć drzwi pani Gemmie.

— Wielce obowiązany za te odwiedzin, signoro. Czy mogę posłać po powóz? Nie? A więc, moje uszanowanie, Bianco, otwórz frontowe drzwi.

Gemma wyszła na ulicę zamysłona.

— „Moji przyjaciele po tamtej stronie granicy”. Kto oni byli? I w jaki sposób ma się usuwać kamień z drogi? Jeżeli za pomocą satyry tylko, to czemu powiedział to z takim niebezpiecznym błyskiem w oczach?

#### ROZDZIAŁ IV.

Monsignor Montanelli przybył do Florencji w początkach października. Przyjazd jego wywołał w mieście pewne wrażenie. Był on słynnym kaznodzieją i przedstawicielem zreformowanego papiewstwa i ludzie pragnęli niecierpliwie usłyszeć tego zwiastuna „nowej doktryny”. Ewangelii miłości i pojednania, którą miała uleczyć niedolę Włoch.

Mianowanie kardynała Gizzi na stanowisko sekretarza Państwa Rzymskiego w miejsce zniechwalonego powszechnie Lambruschini'ego podniosło ogólny zapal do najwyższego stopnia, a Montanelli był właśnie człowiekiem mogącym go łatwo podtrzymać. Nieskazitelną jego życia, wielki kaznodziejski talent w połączeniu z magnetycznym czarem głosu i wspaniałą postawą jednaly mu na wszystkie strony wielbicieli i zwolenników.

Grassini, jak zwykle, wyteżył wszystkie siły, by ściągnąć nową znakomitość do swego salonu, ale Montanelli nie był łatwą zdobyczą. Na wszystkie zaproszenia odpowiadał grzecznie ale odmownie, zastawiając się złym stanem zdrowia i brakiem czasu.

— Cóż to za żarłoczne istoty ci Grassini'owie — rzekł Martin gardliwie do Gemmy, gdy przechodził koło Signorii w jasny, chłodny, niedzielny poranek. — Zauważyłaś, jak Grassini kłaniał się, gdy kardynał przejeżdżał? Im wszystko jedno

było, byle o nim mówiono. W sierpniu był Bak, a obecnie Montanelli. Myślę, że nadskakiwania ich poohlebiamy wielce Jego Eminencyi; tylu awanturników było już ich przedmiotem.

Wracali właśnie z kazania Montanelli'ego w katedrze i olbrzymi kościół był tak przepchnięty słuchaczami, że Martini, lękając się dla Gemmy bólu głowy, na który cierpiała często, naklonił ją do wyjścia przed końcem mszy. Słońce świeciło jasno po całotygodniowej slocie i Martini zaproponował przechadzkę na San Minato.

— Nie — odrzekła. — Przejdę się chętnie, ale nie po górach. Chodźmy na Lung'Arno; Montanelli będzie przejeżdżał tamtędy w powrocie z kościoła; ja zaś podobnie, jak Grassini, lubię oglądać znakomitości.

— Ależ, widziałas go dopiero co. Nie zblizka. W kościele był taki tłok. Trzymajmy się w pobliżu mostu i z pewnością przyjrzymy mu się dobrze. Jak ci wiadomo, mieszka na Lung'Arno.

— Skąd ci ta nagła chęć przyjrzenia się Montanelli'emu? Sławni kaznodzieje nie interesowali cię zazwyczaj.

— To też nie chodzi mi o sławnego kaznodzieję, lecz o człowieka. Chcę zobaczyć, czy bardzo się zmienił od czasu, gdy go widziałam po raz ostatni.

— Kiedyż to było?

— W dwa dni po śmierci Artura. Martini spojrzal na nią z niepokojem, Wyszli na Lung'Arno i Gemma przystanęła wpatrując się w wodę z wyrazem twarzy, którego Martini poprostu znieść u niej nie mógł.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



### Z literatury.

#### Strach na wróble.

Komedia Włodzimierza Perzyńskiego „Strach na wróble”, którą przed niedawnem grano w Teatrze Polskim, zjawila się obecnie w wydaniu książkowym. Treść jej oraz zalety artystyczne omawialiśmy już z racji wystawienia w Teatrze. Wydanie książkowe skromne, lecz staranne.

#### Sad.

Bogato ilustrowana treść zawiera całokształt wiadomości praktycznych, niezbędnych dla właścicieli sadów, oraz tych, którzy, uznając istotną wartość dochodową kultury sadowniczej, chcieliby zwiększyć wydajność swego warsztatu rolnego przez założenie sadu. P. Stefan Celiński w sposób jasny wyłożył w swej pracy zasady sadzenia, nawożenia i pielęgnowania drzew owocowych, podając we wstępie cyfrowy obrachunek korzyści, jakie dać może sad dobrze prowadzony.

### Słownik ilustrowany języka polskiego.

Nie mieliśmy podręcznego słownika języka polskiego. Słownik Lindego, czy wreszcie słowniki wileńskie Al. Zdanowicza lub E. Rykaczewskiego należą dziś do rzadkości. Świetnie opracowany olbrzymi słownik Karłowicza, Kryńskiego i Niedzwiedzkiego nie ukazał się jeszcze w całości. Zresztą księgi te, acz bardzo pożyteczne, są bardzo drogie, nie mogą być przeto dostępne szerszym warstwom. By zadość uczynić potrzebom tych szerokich warstw, ś. p. M. Arct zainicjował wydanie trzytomowego słownika, który jednak pod względem informacyjnym stoi na poziomie bardzo poważnych wymagań.

M. Arct w dziedzinie słownictwa ma specjalne zasługi. Znany jest jego podręcznik wyrazów obcych. Niedawno też zjawil się w edycji Arcta „Słownik staropolski” A. Krasnowolskiego i Wł. Niedzwiedzkiego”. Obecny trzytomowy ilustrowany słownik został opracowany przez M. Arcta przy współudziale prof. Henryka Gallego. Za zadanie postawiono sobie „zobrazowanie jaknajdokładniejszego współczesnego języka literackiego w jego całokształcie”, to jest, chodziło o „żywą mowę inteligentnego ogółu polskiego”. Wyrazy gwarowe, archaizmy, zwroty przestarzałe z racji tej opuszczone, wyrazy błędne lub rzadko używane zostały też pominięte. A jednak i przy takiej selekcji słownik zawiera 70.000 wyrazów i wyrażen. (Słownik Lindego: 60.000!). Nowością w tym nowym arerowskim słowniku jest zastosowanie ilustracji do uwypuklenia wyjaśnien co do przedmiotu czy też jakiegoś pojęcia. Ryunków takich zamieszczono 4.300. Pomysł ten jest bardzo szczęśliwy i napewno przyczyni się wielce do popularyzacji tego słownika.

Wydawnictwo prosi, by ludzie posługujący się tym słownikiem przesyłali swoje uwagi w celu ulepszenia następnej edycji. Mamy nadzieję, że takich uwag znajdzie się niewiele. A jednak wartoby naprzykład dać bardziej wyczerpujące objaśnienia przy słówkach—pojęciach z dziedziny przyrodniczej, filozoficznej i politycznej. W słowniku bowiem pod pojęciem Darwinizm znajdujemy takie wyjaśnienie: „Doktryna Darwina: teoria powstawania gatunków i doboru pleiowego, oparta na ścisłym uwzględnieniu rozwoju istot organicznych”. Dla ludzi nieobytych z teoriami naukowymi definicya ta jest niewystarczająca. Nie dano w niej wyjaśnienia, czem się różni darwinizm od teorii przyrodniczych jego poprzedników, którzy za zasadę przyjęli niezmiennosc gatunków. Następnie zaś pominięto pojęcie walki o byt. Nawystarczające też wyjaśnienie dano pod rzeczownik: anarchista. Niedokładnie zdefiniowano antropomorfizm, apercpepcya. Wogóle przy następnej edycji trzeba skorygować pojęcia filozofii.

Nie znaczy to jednak, by słownik podawał wyjaśnienia błędne. Nie traci on nic przez to ze swojej wartości. Należy bezwzględnie do wydawnictw, którym trzeba życzyć jaknajwiększego rozpowszechnienia. Ostatnia praca ś. p. Arcta wskazuje na troski jego naukowo-wydawnicze, na zbożną chęć słuzenia krajowi, pożyteczną pracą.

